

VERA BUCK

R
UIN
A

A glass marble is placed on the letter 'I' of the word 'RUIN'. The marble is clear and reflects the surrounding environment, including the letters and the background. The word 'RUIN' is written in a large, black, serif font, with the letter 'A' positioned below it. The entire composition is centered on a white background.

Tytuł oryginalny: RUNA by VERA BUCK

© 2015 by Limes Verlag, a division of Verlagsgruppe Random House GmbH, München, Germany
First edition published by Henry Holt LLC, New York.

Copyright © for the Polish edition by WYDAWNICTWO INITIUM

Tłumaczenie z języka niemieckiego: EMILIA SKOWROŃSKA STR. 55–607

AGNIESZKA HOFMANN STR. 1–54

Redakcja i korekta: ANNA PŁASKOŃ-SOKOŁOWSKA

Korekta: NATALIA MUSIAŁ

Projekt okładki: www.buerosued.de

Ilustracja na okładce: ©JAKE OLSON / TREVILLION IMAGES;

www.buerosued.de

Skład i łamanie: PATRYK LUBAS

Współpraca organizacyjna: BARBARA JARZĄB, ANITA BRYLEWSKA

WYDANIE I

ISBN 978-83-62577-76-7



Wydawnictwo INITIUM

www.initium.pl

e-mail: initium@initium.pl

facebook.com/wydawnictwo.initium

Druk i oprawa: DRUKARNIA WYDAWNICZA im. W. L. ANCZYCA S.A.

VERA BUCK

R
U
N
A

A clear glass marble is positioned over the letter 'U' in the word 'RUNA'. The marble is highly reflective, showing a distorted reflection of the surrounding environment and the letters of the title. The word 'RUNA' is rendered in a large, black, serif font, with the letters stacked vertically: 'R' at the top, 'U' in the middle, 'N' to the right of 'U', and 'A' at the bottom.

Tłumaczenie z języka niemieckiego
Emilia Skowrońska



Dedykacja narratora

*M. Lecoqowi, któremu zawdzięczam tę historię,
i Runie, której jestem ją winien.*

MAXIME CHEVRIER
12 grudnia 1903 roku

PROLOG

Wzięłem głęboki wdech. Ustawiliśmy się i teraz sam już widziałem to, o czym przedtem, podczas przebierania, ósmielano się mówić tylko na ucho. Dwustu trzynastu. Liczba ta była podawana z ust do ust, obiegała wszystkich szeptanym kanonem. Dotarła do nas, chórzystów, do księdza, a na końcu do kapłana, który otworzył księgę z animuszem większym, niż to leżało w jego naturze. Dwustu trzynastu wiernych w kościele Saint-Médard. A zatem to była liczba moich pierwszych czytelników.

– Wszystko w porządku, Maxime?

Mogłem tylko przytaknąć, w dalszym ciągu wydymając policzki i wydmuchując powietrze przez usta, jakbym był miechem. Rozejrzałem się za ojcem i dostrzegłem go w głębi przy drzwiach. Z rękami skrzyżowanymi z przodu wyglądał na bardzo drobnego. Może wolałbym, żeby nie przyszedł. Gustave położył mi rękę na ramieniu i przysunął usta tak blisko mego ucha, że dostałem gęskiej skórki.

– Nie przejmuj się. *Minuit Chrétiens* możesz przecież zaśpiewać nieco ciszej.

Zacisnąłem usta i skinąłem głową. Słowa Gustave'a zabrzmiały jak prośba. Odwrócił się, a jego ręka pozostawiła na mojej skórze płonąca plamę.

Nie mógł wiedzieć, podobnie jak cała reszta, że dziś miało nie być *Minuit Chrétiens*. Że zamiast tej pieśni zaplanowany został wernisaż, zdolny w ciągu jednej nocy postawić na głowie porządek Paryża.

Zacisnąłem pięści, zająłem swoje miejsce i zamknąłem oczy. Głosy przycichły. Potem rozległy się pokasływania i chrząknięcia, ten i ów jeszcze wydał z siebie gardłowy dźwięk, by ostatecznie zamilknąć. Słyszałem szum mojej krwi i odgłosy wichury szalejącej na zewnątrz kościoła. Obok mnie stał Gustave. Chciałem, żeby wziął mnie za rękę.

Była dokładnie dwudziesta druga trzydzieści, kiedy zaintonowaliśmy pieśń. Pierwszy punkt kulminacyjny Mszy świętej. Wszystko przebiegało według planu. Z piszczałek organów wydobywały się grzmiące dźwięki. Przechodziły falą przez kościelną nawę i odbijały się od ścian, by spaść na wiernych, którzy sięgali po śpiewniki. Książek nie wystarczyło dla wszystkich, ale ci, którzy je mieli, podzielili się z sąsiadami. Niektóre powędrowały nawet ku stojącym z boku ławek – tak daleko sięgała miłość bliźniego w Boże Narodzenie. Wyciągnąłem szyję, by wypatrzeć ojca, ale w głębi kościoła było teraz ciemno. Wysokie świeczniki przeniesiono do przodu, całe światło spływało na nas. Oświetlało chór, ołtarz i pierwsze rzędy ławek. W pogrążonej w półmroku pozostałej części kościoła blask świec wystarczał na tyle, by rozszyfrować nuty na stronicach śpiewnika i słowa, które stały ponad nimi. *Danc une étable obscure*. Z perspektywy czasu można powiedzieć, że nie mogłem wybrać lepszego tytułu kolędy. *Danc une étable obscure – W ciemnej stajence*.

Pierwsze miny zrzedły w chwili, gdy zaczął śpiewać chór chłopięcy. Usłyszałem, jak Gustave u mego boku zaintonował

wersy, które tak często ćwiczyliśmy. Ale wierni w kościele nie przyłączyli się do śpiewu. Skonsternowani chłopcy urywali jeden po drugim, jakby topili się w oniemieniu, które rozniosło się po kościele. Tylko organy huczały dalej, aż sam organista zmiarkował, że coś jest nie tak. Pojedynczy dźwięk piszczałki zawisł nad ławkami, zniekształcony i mroczny jak zdania, w które wpatrywali się ludzie.

Nad słowami pieśni czarnym atramentem napisany był tekst, czarny jak kwiaty zła. Przesłanie, wersy, wiersz. Zobaczyłem, jak ludzie nachylają się nad śpiewnikami po kilku na raz, i poczułem, jak moje ciało przechodzi mrowie. Z ciszy wywołanej zaskoczeniem podniosły się szepty.

CZEŚĆ PIERWSZA

ODKRYCIA

Może najpierw powinienem był przeprowadzić doświadczenia na zwierzętach. Te najodpowiedniejsze, a mianowicie cielęta, trudno jednak zdobyć ze względu na koszty, dlatego – z łaskawym przyzwoleniem ordynatora – wszcząłem eksperymenty w powszechnym przytułku w Sztokholmie i zamyslałem ewentualnie w późniejszym czasie podjąć doświadczenia na zwierzętach.

CARL JANSON (1891)

lekarz szwedzki

Marguerite Desens straciła w należącej do gospodarstwa stajni niewinność, dziecko i życie. Wszystko w tym samym końskim boksie, choć nie w tym samym czasie. Jej owdowiały małżonek prowadził Joriego wzdłuż świńskich kojców, wymieniając jednocześnie w odwróconym porządku chronologicznym najważniejsze wydarzenia z życia madame Desens: w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym pierwszym śmierć przez widły, na które madame upadła podczas wyrzucania obornika, tragiczny wypadek. Osiem lat wcześniej poronienie spowodowane uderzeniem kopyta. A w roku siedemdziesiątym trzecim spłodzenie utraconego później dziecka. Wieśniak spoglądał w zadumie. Ze wszystkich trzech wydarzeń to, o którym wspomniał na końcu, wywarło na nim najbardziej trwale wrażenie.

Świnie wytykały łby pomiędzy desek i chrumkały wyczekująco. Tłoczyły się i rozpychały. W Paryżu każdy szybko się uczył, co robić, żeby zdobyć najlepsze miejsce przy korycie.

Parę metrów dalej stały konie. Jori zajął za niskie drewniane przegrody. Widząc brudną słomianą wyściółkę, wołał nie wyobrażać sobie scen, które opisał chłop.

– Jak długo pan ją tu trzyma? – zapytał, wracając do właściwego powodu swych odwiedzin.

– Trzy miesiące. Od kiedy rozbiła krzesła w kuchni.

– Trzyma ją pan tu zamkniętą od trzech miesięcy?

Chłop wzruszył ramionami.

– Postradała rozum – powiedział, rysując na prawej skroni niewielki okrąg, jakby Jori sam już dawno o tym nie wiedział. Nachylił się poufale. Jori poczuł jego nieświeży oddech i odwrócił się.

Monsieur Desens pchnął drewniane drzwi na końcu stajni. Jori wszedł za nim do pomieszczenia wypełnionego workami

i narzędziami. W półmroku dostrzegł stary pług i wąskie schodki prowadzące na strych. Były niewiele szersze od drabinki dla kur. W pomieszczeniu było chłodniej niż w stajni. Pachniało kurzem, smarem do skór i świniami. Monsieur Desens wskazał na komórkę pod schodami, w której parę lat temu trzymał króle.

– Tam?

– Jest większa, niż wygląda. Przecież nie zostawię jej tu samej z tymi kosami i plugiem.

Jori zrobił neutralną minę. Wydawało mu się, że czasy, w których chorych umysłowo skuwano łańcuchami i zamykano w stajni, już minęły.

– Niech więc pan otworzy!

– Sam pan może to zrobić. – Chłop złożył skrzyżowane ramiona na brzuchu jak na stole; dłonie wsunął pod poplamione potem pachy. – Ja się cieszę, że w ogóle udało mi się ją tam wsadzić.

Jori odwrócił się ze złością i zbliżył do schodów. W komórcie panowała cisza. Poglądził chropowatą powierzchnię drewna. Zagroda przypominała mu jego dzieciństwo. W Finsterhennen mieszkał z rodzicami w niewielkim gospodarstwie, nieumywającym się rozmiarami do tego. Mieli zaledwie parę krów, króli i kur, wszystko na własne potrzeby, a także konia, który mógł ciągnąć pług. Ale zapach był taki sam. Do tego narzędzia, ciężkie powietrze, cienie, wszystko to przypominało Joriemu dom – nawet fakt, że w stajni zmarła kobieta. Być może łączyło go z tym chłopem więcej, niżby chciał.

– Niech pan będzie ostrożny – powiedział tamten, sprawiając, że Jori się wzdrygnął. – To wariatka, jak mówiłem.

Jori wykrzywił twarz.

– Boi się pan własnej córki, monsieur Desens?

Wieśniak uznał, że nie musi odpowiadać. Tam, gdzie stał, pod ścianą, zajmował lepszą pozycję. Jori przyjrzał się skoblowi, na który zamknięta była komórka. Był to zwyczajny drewniany kolek, przymocowany gwoździem do ramy, tak by można go było przekręcić i zasunąć na drzwi. Te służące do zamykania zwierząt – albo własnych dzieci – rygle wszędzie, w każdym kraju wyglądały podobnie.

Podszedł do bocznej ścianki komórki i przez szparę między deskami zajrzał do środka. Było ciemno. W słabym świetle wpadającym przez szczeliny unosiły się drobinki kurzu. Ciągnęły za sobą jasne smugi, które rozmywały się w ciemności jak proszek tabletki, wrzuconej do szklanki z wodą. Nic więcej nie było widać. Jeśli za tymi deskami znajdował się człowiek, to musiał leżeć przy ścianie, przy której stał Jori, komórka była bowiem zbyt ciasna, by móc się schować gdziekolwiek indziej. Jori zerknął w dół i zobaczył niewielką kępkę brązowych włosów przeciskających się przez szparę między komórką i podłogą. Chora leżała u jego stóp.

– Sąsiedzi już krzywo patrzyli. – W głosie chłopca było tyle przekory, że przy odrobinie dobrej woli jego słowa można wziąć za usprawiedliwienie. – Pomyłona na gospodarstwie to jak zaraza. Takie rzeczy prędko się roznoszą.

Jori przekręcił rygiel. Niedbale zbite z desek drzwi zachybiły się pod dotykiem. Ich zewnętrzna krawędź pozostawiła półokrągłe zadrapanie na podłodze, do której przywarły wyschnięte królicze odchody. Zmrużył oczy i zajrzał w mrok, lecz nawet teraz widział nie więcej niż niewyraźny kształt ciała przytulonego do bocznej ścianki, nagą stopę i włosy. Jeden z kosmyków przyczepił się do chropowatego otworu po sęku. Chora pewnie osunęła się

po ścianie. Jori nie od razu rozpoznał, gdzie ma przód, a gdzie tył. Głowa leżała zwrócona ku tylnej ścianie, wyglądającej tak, jakby była wgnieciona do wewnątrz przez schodki, lewa noga spoczywała przyciągnięta do ciała, prawa wysunięta w kierunku drzwi. Dopiero teraz, kiedy zdołał rozpoznać w postaci coś w rodzaju kobiety, zmiarkował, że nawet nie zapytał o jej imię.

– Jak ma na imię?

– Marguerite. Po matce.

– Hm. – Jori miał złe przeczucia. Przypuszczał, że jeśli jak najrychlej nie uwolni młodej kobiety ze stajni, matka i córka podzielą nie tylko imię, ale i los. Ostrożnie trącił butem jej prawą stopę, która cofnęła się jak wąż dotknięty laską spacerowicza. Słyszał jej oddech. Marguerite Desens zauważyła jego obecność.

– Umie mówić? – zapytał przez ramię, nie odwracając wzroku od postaci w półmroku.

– Nie mam pojęcia, chyba jeszcze tak. Ale wygaduje same duby smalone. Nie zbada jej pan?

Jori schylił się ku chorej. Jego wzrok padł na pustą drewnianą miskę nieopodal rąbka spódnicy. Naczynie wyglądało, jakby ktoś pośpiesznie wstawił je do klatki i tak samo pośpiesznie opróżnił.

– Kiedy dostała ostatni posiłek?

– Wczoraj.

– Dzisiaj jeszcze nic?

– Karmię ją wieczorem razem z innymi – odrzekł chłop, nie precyzując, czy ma na myśli dzieci czy zwierzęta. Ze stajni obok dobiegło chrumkanie świń. – To jak, jest opętana przez diabła czy nie?

Jori wyprostował się na tyle, na ile to było możliwe w komórcie, postąpił krok naprzód i ponownie trącił butem ciało kobiety,

łagodnie, tam, gdzie spodziewał się jej biodra. Ustąpiło. Usłyszał jęk, a potem w schowku znów zapanowała cisza. Obrzucił wzrokiem skołtunione włosy i krzywiznę kręgosłupa. Postawienie diagnozy w tym mroku i ciasnocie było niemożliwością.

– Myślę, że jest histeryczką. Dokładnie zbada ją doktor Charcot, już w klinice. Ja jestem tu po to, by wydać wstępne orzeczenie.

– Nic nie zapłacę, jak mówiłem – odparł monsieur Desens, wyraźnie zaalarmowany słowem „orzeczenie”. Już on się znał na tych wszystkich pieczętkach. Do wszystkiego potrzebne jest teraz orzeczenie, nawet w świńskiej zagrodzie.

– Tak, monsieur, mówił pan.

– Nic nie zapłacę.

– Nic pan nie zapłaci. Za jakąś godzinę przyjedzie po nią powóz.

– To dobrze. – Słowa gospodarza zabrzmiały tak obojętnie, że Jori odwrócił się w jego stronę. Mężczyzna schował dłonie jeszcze głębiej pod pachy i wyduł usta.

– Czy córka ma jakieś przedmioty osobiste, które chciałaby wziąć? Ubrania? Bieliznę?

– Żebyście jej zabrali w szpitalu? Nie. Niech pan sobie nie myśli, że nie wiem, jak to się odbywa.

Jori przygryzł wargę. Nie po raz pierwszy, gdy oprócz choro- go chciał zabrać też jego przedmioty osobiste, oskarżano go, że łupi biedaków, którzy i tak wszystkiego mają za mało i tylko członków rodziny pod dostatkiem. Tych oddawano mu z pocałowaniem ręki.

– Ubrania i biżuterię przechowujemy i oddajemy chorym, gdy wracają do domu. – Z trudem zachowywał umiarkowany ton. – Po wyzdrowieniu.

– Młody człowieku, nie spodziewam się ani jej powrotu, ani wyzdrowienia. – Głos chłopca stwardniał.

Spojrzenia obu mężczyzn zetknęły się i odbiły od siebie. Jori monitował się do zachowania spokoju. Nie było powodu do wrogości. Jeden z nich chciał się pozbyć córki, drugi chciał ją zabrać, ich interesy znakomicie się uzupełniały.

– A zatem za godzinę. Proszę dać jej przedtem coś do jedzenia, żeby przetrwała drogę.

Jori rzucił ostatecznie spojrzenie na ludzkie zawiniątko na podłodze. Miał opory zostawić ją tak, ale w tej chwili nie mógł zrobić nic więcej. Zamknął za sobą obluźowane drzwiczki. Tego dnia miał odebrać jeszcze jedną osobę, osobę, która przysporzy mu więcej radości niż Marguerite Desens.



Nie było tak, że Joriemu przeszkadzał gatunek ludzki jako taki. W Salpêtrière nieustannie miał do czynienia z ludźmi, sale chorych były nimi przepelnione. A mimo to wszystko miało tam swój porządek. Każdy miał swoje miejsce, wiedział, gdzie kogo znaleźć, kto leży w którym łóżku. W przeciwieństwie do tego w śródmieściu dzień i noc panowały brak dyscypliny i nieposkromiony chaos.

Wyminął powozy załadowane walizami i ludźmi, niczym cyrkowa karawana sunące chwiejnie jeden za drugim przez ciżbę, a potem przywarł do żelaznej bramy prowadzącej do głównego wejścia Gare de l'Est. Przyciskając plecy do prętów, popatrzył w niebo. Popołudniowe słońce wisiało nad miastem jak siarkowożółty kamień żółciowy, na wpół przesłonięty parą

i sadzą z przybywających na dworzec pociągów dowożących kolejne ładunki do Paryża, który i tak już był przesycony ludźmi. Na przedmieściach wokół centrum miasta budowano i poszerzano kolejne dzielnice, nie potrafiąc sprostać napływowi ludności. I jeszcze dłuższe ulice, i jeszcze wyższe domy, czy też to, co nazywano tu domami. W Finsterhennen, gdzie dorastał Jori, domy miały wyraźny kształt: cztery ściany, dach i ogród, w którym pasła się krowa albo rosła grusza. Były niebieskie niebo i zielone łąki, i pola, ponad którymi można było spoglądać w dal, daleko, aż po góry. W Paryżu zaś widać było tylko fasady, kamienne elewacje z rzędami okien, upstrzone tu i ówdzie balkonami, które wisiały nieużywane nad ulicą. Niektóre z nich znajdowały się bezpośrednio nad restauracją lub kawiarnią. Mieszkańcy kamienicy mogli napluć klientom prosto do *café au lait*.

Z tłumu wyłonił się pochylony mężczyzna, popychający przed sobą katarynkę. Przekroczył ulicę i ruszył w kierunku Joriego ze wzrokiem utkwionym w ziemię, jakby nie wolno mu było stracić z oczu terkoczących kółek wózka. Miał kapotę z wyświechtanego weluru, białe włosy i sączący się czerwony wykwit na nosie. Dotarłszy do chodnika, przystanął i mrugając ze zdziwieniem, popatrzył na Joriego. Najwyraźniej ten zajął jego stałe miejsce przy bramie. Jori zawiesił spojrzenie na czerwonym wrzodzie na jego twarzy. Patrząc z tej odległości, nie potrafił stwierdzić, czy jest zaraźliwy, ale jeśli mężczyzna chciał rościć sobie prawo do tego miejsca, nie zamierzał stawać mu na drodze. Już miał ustąpić na bok, gdy kataryniarz zaczął świdrować go spojrzeniem spod ciężkich powiek. Potem odwrócił się jak pies, zbyt zmęczony lub głodny, by walczyć,

i pchnął katarynkę prosto w ludzi na chodniku. Wkrótce jej fałszywe i smutne dźwięki popłynęły od drugiej strony bramy. Zabrzmiały jak spóźnione pretensje.

Jori wyłowił z kieszeni zegarek i otworzył klapy. Była za dwadzieścia czwarta. Pociąg miał przyjechać za kwadrans. Jori nie musiał się śpieszyć. Zamknął złote wieczko zegarka i beznamiętnie popatrzył na wygrawerowanego na nim strzelca. Kupił zegarek wiele lat temu na pchlim targu w Szwajcarii; był brzydki, ale tak niezawodny, że nie widział powodu, by oszczędzać na nowy. Wsunął czasomierz z powrotem do kieszeni.



Zatrzymał wzrok na wywieszkach poprzyklepianych gęsto do cienkich desek ogrodzenia. Jedna z nich reklamowała dwudziestozłowy rewolwer Lefauchaux. Inna zachwalała nową amerykańską maszynę, w której rzekomo można było pracować osiemdziesiąt sztuk bielizny jednocześnie, i to zupełnie bez pracy rąk. Ameryka stała się bardzo modna. Kto był niezadowolony ze swego życia i mógł sobie pozwolić na bilet, udawał się właśnie tam. Kto nie, przybywał przynajmniej do Paryża, gdzie były rozrywki, praca i wino z dodatkiem kokainy.


Joriemu rzuciła się w oczy reklama Folies Bergère. Przedstawiała trzy tancerki w czerwonych sukniach. Spódnica tej z przodu unosiła się w tańcu, odsłaniając nogę o dziwnych proporcjach, która w porównaniu do nogi, na której spoczywał ciężar ciała tancerki, była zbyt długa i wychodziła z biodra pod nienaturalnym kątem. Nierówność kończyn spowodowana martwicą głowy kości udowej – zdiagnozował niemal odruchowo.

Ponownie wyciągnął zegarek, otworzył klapkę, zamknął ją; niewiele się zmieniło. Powrócił wzrokiem ku plakatowi. Coś go zaintrygowało. Coś, co wiązało się z ich rozmieszczeniem, a może z tekstem, nie potrafił dokładnie powiedzieć. Ponownie przyjrzał się biodrom kobiety, jej gołym nogom, po których wspinał się rąbek spódnicy, ale to nie w tym był problem, więc Jori skierował uwagę na resztę plakatu, napis, ozdobne brzegi. I w końcu znalazł to, co go zafrapowało. Na górnej krawędzi plakatu naklejona była karteczka ze znakiem, który ktoś koślavo narysował ołówkiem:



Resztę zakrywał plakat reklamowy. Jori przejechał kciukiem po znaku, rozmazując go. Krzyż na dole, głowa na górze. Symbol kobiecości. Jednakże tu na czubku umieszczono dwa szpice, jakby doprawiono kobiecie rogi. Diabeł w ciele kobiety. Jori opuścił kciuk i potarł nim zewnętrzną stronę palca wskazującego. Jego dłonie powilgotniały.

Nie zważając na to, że mała wskazówka zegarka znacznie się zbliżyła do czwórki, Jori przystąpił do odczepiania plakatu od znajdującej się pod spodem kartki. Plakat Folies Bergère przyklejony był jednak tanim klejem kostnym. Szare grafitowe ślady ołówka wżarły się weń jak trąd w skórę. I kiedy wreszcie Jori odsłonił kartkę, mógł odczytać zaledwie połowę pierwotnej wiadomości. Klej dosłownie pozrywał litery z powierzchni papieru:


 mouf et
 s. s t rre
 Cu P i ne Pt E ie
 & S uia Pb rre

Przysunął twarz do papieru, zalatującego wilgotnym piwnicznym murem. Notatka wyglądała, jakby skreśliło ją dziecko, litery były różnej wielkości i raczej namalowane niż napisane – małe „t” przypominało krzyż na grobie, a „r” laskę. Potarł mocno kciukiem o nasadę palca wskazującego. Więcej symboli ani rysunków nie znalazł. Tylko to bezsensowne nagromadzenie liter.

– Jori!

Drgnął i odwrócił się gwałtownie ku uśmiechniętemu młodemu blondynowi, który wyrósł przed nim niespodziewanie. Przez chwilę trwał w osłupieniu, a potem nie mógł inaczej, jak tylko rozpromienić się tak samo. Paul tu był! Paul Eugen Bleuler, przyjaciel ze studiów. Jori miał czekać na niego na peronie.

– Wszystko w porządku? Zapomniałeś odebrać mnie z pociągu?

– Przyszedłem za wcześnie, a w hali...

– Wiem, było zbyt tłoczno.

Oczy Paula uśmiechały się ciepło. Jasnoniebieskie i przejrzyste. Typowy błękit Bleulerów, pomyślał Jori. Ten sam odcień miały oczy Pauline, kiedy jej szary nastrój rozpiezchał się na kilka dni. Jori tęsknił za tym błękitem, tęsknił za nim nadal.

– Zeszczuplałeś. Coś mi się zdaje, że brakuje ci szwajcarskiej kuchni – orzekł Paul.

– Za to ty masz więcej włosów.

– To mi dodaje powagi. – Paul sięgnął dłonią ku brodzie, która była tak samo rzadka jak włosy na głowie. Porastała jego szczękę niczym starannie przystrzyżona trawa.

Jori powstrzymał się od komentarza. Odkąd piętnaście lat temu wyrósł mu na brodzie pierwszy czarny włos, przypominający klujkę kleszcza, golił się codziennie. Nie lubił bród. Na sam ich widok czuł swędzenie, nie mówiąc o tym, że uważał je za siedlisko pasożytów i bakterii. Z brodą miałby wrażenie, że po każdej sesji terapeutycznej zanosí chorobę pacjenta do domu.

– Co to jest? – Paul sięgnął po zerwany plakat. Jori nie zdawał sobie sprawy, że trzyma go w ręku. Teraz było już za późno, by się go pozbyć. – Folis Berżer? – Uśmiechnął się znacząco na widok półnagich kobiet. Jori zauważył, że jego francuszczyzna brzmi bardzo niemiecko. – Nasze plany na wieczór?

– Nie! – Jori poczerwieniał. Zawstydzony, przyciągnął plakat do siebie, jakby odwiedzanie warieté w Paryżu stanowiło coś gorszego. – Dzisiaj wieczorem ma miejsce wtorkowy odczyt w Salpêtrière.

– Wiem. Ze sto razy wspominałeś o tym w listach. Jakby Hipokrates we własnej osobie przedstawiał nas pacjentom. – Paul się roześmiał.

Jori rozejrzał się, po czym ruszył w stronę kosza na śmieci przymocowanego do latarni parę kroków dalej i wrzucił doń zgnieciony plakat. Publiczne kosze na odpady były nowinką w mieście. Niejaki monsieur Poubelle kazał je zainstalować w tym roku. Wkrótce miano nawet wprowadzić segregowanie śmieci.

Poubelle chciał zobowiązać właścicieli domów do wystawiania przed kamienice trzech pojemników: na odpadki spożywcze, na papier i szmaty oraz na skorupki od ostryg. Jori uznał ten pomysł za znakomity, choć jego sukces, jak do tej pory, był znikomy. Zdawał się funkcjonować wyłącznie w promieniu metra od kosza.

– Lepiej! Odczyt wygłosi doktor Charcot – rzekł, nagle uskrzydłony. – I powiem ci, że porównywanie tych tancerek z histeryczkami z Salpêtrière to jak porównywanie eteru z hiszpańską muchą!

– Z czym?

– No właśnie.

Paul przybrał minę, której Jori nie potrafił zgłębić. Ich spojżenia zetknęły się na chwilę, ciepłe i znajome, jakby dopiero teraz pojmowali, że wreszcie się widzą po tak długim czasie. I to w dodatku w Paryżu, z perspektywą wieczornego wykładu profesora Jeana-Martina Charcota, najślynniejszego neurologa na świecie, nad którego rozprawami ślęczeli razem na uniwersytecie w Zurychu.

Paul postawił walizkę na ziemi, uważając, by się nie przewróciła. Zrobił krok w stronę Joriego, by wziąć go w ramiona.

– Jak dobrze cię widzieć! – powiedział. Joriemu wydało się, że fałdki jego podróżnego płaszcza pachną jeszcze ostatnimi resztkami szwajcarskiej czystości.

– Witaj w Paryżu. – Wciągnął głęboko powietrze, nagle wątpiąc, czy miasto spodoba się przyjacielowi.

Opływał ich strumień podróżnych, którzy oglądali mężczyzn przy wejściu, tak jak oglądali wszystko, co było do obejrzenia w tym mieście. Dziesiątki par oczu w poszukiwaniu kolejnej

atrakcji, kolejnego skandalu albo kolejnej zbrodni. A jedna z tych par oczu mrugała znad krawędzi wypełnionego do połowy kieliszka wino mariani w kawiarni naprzeciwko dworca.



Lecoq nie był człowiekiem małych łyżeków. Nie zamawiał napoju, by maczać w nim usta, podobnie jak nie zamawiał kotlecia, by tylko go oblizywać. Dlatego był to jego czwarty kieliszek wino mariani. Mężczyzna nie wiedział, ile czasu będzie musiał jeszcze czekać. Gładkolicy blondyn po przeciwnej stronie ulicy zdawał się nie spieszyć, choć często popatrywał na zegarek.

Kiedy stanął pod bramą dworca, Lecoq pomyślał, że to zwykły kieszonkowiec, mimo iż smukła sylwetka i typowe dla przestępców przyrośnięte do głowy płatki małżowiny wskazywały raczej na podpalacza. W każdym razie mężczyzna ów był młody i niedoświadczony, dałoby się go powalić na ziemię paroma chwytami. Później jednak osobnik zainteresował się ogłoszeniami na ogrodzeniu i zerwał jedno z nich, jakby czegoś szukał. Poczynania te przerwał dopiero mężczyzna z walizką. Był to podróżny, najwyraźniej z daleka – jego staromodny płaszcz był wygnieciony od długiego siedzenia. Lecoq od razu dostrzegł, że obaj są cudzoziemcami, zapewne Niemcami. Niemcy masowo przybywali do Paryża, i to już od dziesięcioleci. Zakładali swoje gniazda w lukach wyrwanych w mieście przez rewolucję i Komunę Paryską. A tam, gdzie nie było naturalnych luk, tworzyli je – na przykład wojną francusko-pruską w tysiąc osiemset siedemdziesiątym roku.

Do stolika wolnym krokiem podeszła młoda kobieta. Lecoq zauważył ją dopiero teraz, gdy stanęła na wprost niego, a jej po-

stać, w znoszonej fioletowej sukni, zasłoniła mu widok na dworzec. Z irytacją podniósł wzrok na jej okrągłą, dziecięcą twarz. Szacował, że nie ma więcej niż czternaście, piętnaście lat.

– Mademoiselle. – Podniósł rękę i chciał przesunąć kobietę na bok, ale ona nie ruszyła się z miejsca, tylko docisnęła biodro do jego dłoni, podpierając się w talii. Lecoqa owionął natarczywy zapach fiołków. Kobieta wybrała perfumy, które dobrze pasowały do jej osobowości.

– Cztery franki – powiedziała.

Po akcencie rozpoznał, że ona również jest cudzoziemką, może Węgierką. Jedną z młodych dziewczyn, które przybywały do Francji, by pracować jako niańki lub mamki, ale prędkiej czy później uznawały, że inna klientela jest bardziej zainteresowana ich piersiami. Cztery franki, i to za fiołki!

Rzucił jej rozszłoszczone spojrzenie. Nie podobało mu się, co wyprawia. Jej najwyraźniej również; uśmiech na jej twarzy utrzymał się tylko dzięki warstwie pomadki i pudru.

– *Excusez-moi, mademoiselle.* – Chwycił ją oburącz i przesunął. Jej botki zastukały na bruku, kiedy potknęła się i zatoczyła w bok. Powiedziała coś jeszcze w języku, którego nie znał. W jej głosie pobrzmiwała złość, ale nie rozczarowanie; Lecoq się nie ludził – był starym mężczyzną.

Podejrzany i jego przyjaciel nadal stali pomiędzy kolumnami i rozmawiali. Plakat trafił w inne ręce, przechodząc od mężczyzny z płatkami usznymi kryminalisty do brodacza. Powędrował z powrotem. Podejrzany zgniótł go w kulkę i podszedł do kosza, by go wyrzucić, i to też było podejrzane, wysoce podejrzane. Nikt przecież nie korzystał z tych nowomodnych publicznych koszy. Kto nie miał nic do ukrycia, rzucał śmiecie na ulicę!

Lecoq wziął jeszcze jeden, ostatni łyk. Kieliszki robiły się coraz mniejsze. Dwie postacie po przeciwległej stronie ulicy pa-
dły sobie w ramiona i po chwili zebrały się do odejścia. Młody
mężczyzna z płatkami usznymi kryminalisty wziął torbę od po-
dróżnego i pokazał w kierunku, w którym brodacze ruszył natych-
miast, podczas gdy młody blondyn obejrzał się jeszcze za siebie
i popatrzył na bramę, przy której stali. Przez moment wydawał
się niezdecydowany, Lecoq wyczuwał to wyraźnie. Potem postą-
pił naprzód, jednym gwałtownym ruchem zerwał z tablicy ogłoszeń
inną kartkę, pogniótł ją, zrobił trzy kroki w kierunku kosza,
ponownie się odwrócił, niepewnie, gorączkowo, i w końcu rzucił
papier na ziemię, po czym pośpiesznym krokiem pobiegł za bro-
datym.

Lecoq odprowadził go wzrokiem i zahuszał kolanami. Gdy-
by na tym polegała jego misja, podążyłby za mężczyznami w bez-
piecznej odległości. Lecz to nie była misja, tylko odkrycie kolej-
nego potencjalnego przestępcy – mniej lub bardziej przypadko-
we. Lecoq dobrze wiedział, dlaczego pomimo coraz mniejszych
kieliszków wciąż przesiadywał w tej kawiarni. Wszyscy nowi
przestępcy w końcu musieli przybyć na któryś z paryskich dwor-
ców. Dworce były niczym ucho igielne dla tej całej szumowiny,
która spływała do centrum miasta i do *banlieus*, gdzie życie było
krótsze, a bieda większa. Gdyby choć jeden z młodych durniów
w szeregach paryskiej policji posiadał talent Lecoqa, można by
przechwytywać kryminalistów od razu tutaj, zanim zdążyliby
popęłnić przestępstwa czyny.

Zobaczył, jak dziewczyna w fioletach kroczy sztywno ku
następnej kawiarni. Miała chude, długie nogi; poruszała się tak,
jakby urosły jej nieoczekiwanie przez noc. Gdzieś znajdzie ko-

goś, kto będzie umiał wstrzymać oddech na tyle długo, by znieść zapach fiołków.

Popołudniowe słońce i wino sprawiły, że głowa Lecoqa zrobiła się ciężka. Powinien już dawno zamówić coś do jedzenia, ale chciał być w gotowości, by móc od razu poderwać się na nogi, gdyby potrzebne okazały się jego detektywistyczne zdolności. Teraz zżymał się na swe zachowanie. Nawet po siedemnastu latach, odkąd przestał pracować dla Sûreté, zachowywał się jak posokowiec, którego brano na łańcuch, gdy tylko dostrzegał jakąś podejrzaną postać. A przecież to właśnie on miał planować następne wielkie przestępstwo.

Na dnie kieliszka zauważył resztkę wina – tam gdzie nóżka łączyła się z tulipanowym brzuszkim – ale kropelka nie chciała spłynąć, nawet gdy odchylił głowę i przechylił kieliszek dnem do góry, wtykając weń nos. W połowie drogi ku jego wargom kropla zatrzymała się na wewnętrznej ściance, nie bacząc na desperację, z jaką Lecoq wciągał powietrze. Odstawił kieliszek. Zatrzymał spojrzenie na koszu po przeciwnej stronie ulicy. Co by się stało, gdyby zobaczył, co wyrzucił mężczyzna? To nie miało nic wspólnego z węszeniem. I przecież nie śledził tamtych dwóch, to pewne. Popatrzył wzdłuż ulicy. Podejrzani zniknęli.

Położył na stoliku pieniądze za wino, doliczając piętnaście centymów napiwku. To więcej, niż mógł sobie pozwolić, ale być może sprawi, że następnym razem kelner znajdzie większy kieliszek.

Wsunął ręce w kieszenie i wolnym krokiem, niczym niewinny przechodzień, przeszedł na drugą stronę ulicy.

Najpierw zajął się ogłoszeniem w koszu na śmieci. Leżało na wierzchu niewielkiej sterty gazet. Lecoq spodziewał się jakiegoś

politycznego wezwania, rewolucyjnej ulotki albo innego dokumentu o kontrowersyjnej treści, rozczarował się zatem na widok paru skąpo odzianych kobiet. Czemu ktoś miałby wyrzucać podobny plakat? Ze względów religijnych? Czyżby mężczyzna był stróżem moralności? To nie było wykluczone, zważywszy na jego niepewną posturę, smukłą i wyprostowaną, jakby kij połknął. I jeszcze ta sztywność, z jaką mężczyźni padli sobie w ramiona.

Lecoq wszedł w cień między kolumnami i schylił się po drugą kartkę, którą wyrzucił podejrzany. Była wyraźnie bardziej sfałtgowana, stary papier zapisany ołówkiem, lekko pożółkła strona, nawet nie wszystkie słowa były czytelne. Na samej górze widniał znak przypominający symbol kościoła, tyle że krzyż był skierowany w dół. Symbol planety Merkury.

Rozprostował kartkę, wyglądając zagniecenia. Spróbował rozszyfrować kulfoniaste pismo, mrużąc pod nosem słowa, by usłyszeć ich brzmienie:

– *Mouf...et s...s t...rre, moufette s...s t...rre, mouffette sans terre?* – Jego siwiejące brwi spotkały się pośrodku, kiedy zmarszczył czoło. Na nowo przebiegł wzrokiem litery, ale wydawało się, że nie ma innej możliwości. *Moufette sans terre*, co oznaczało: „skunks bez ziemi”. Odwrócił kartkę o dziewięćdziesiąt stopni, lecz to nie zmieniło znaczenia słów. Gdyby zechciał, analiza grafologiczna naturalnie przyniosłaby dodatkowe wskazówki odnośnie do autora: jego płeć, wiek, przestępcze zamiary et cetera. Ale czy chciał? Nie, nie chciał, uznał Lecoq. Jakiż sens miałyby analiza świstka, który znalazł, tylko dlatego że jakiś cudzoziemiec z płatkami usznymi typowymi dla kryminalisty zerwał go ze ściany, w dodatku w sytuacji, gdy już dawno zaprzestał działalności śledczej. Lecoq zamknął notes i jeszcze raz dokładniej

przyjrzał się wiadomości. Prawy brzeg kartki był wystrzępiony, a powierzchnia papieru uszkodzona. Papier był cienki, tak cienki jak stronice w modlitewnikach albo bibliach. Kiedy Lecoq uniósł go ku niebu, zobaczył przesączające się przezeń światło. Znał kogoś, kto mógł określić wiek książki, i to tylko na podstawie jednej strony. Zaprzyjaźniony antykwariusz. Gdyby Lecoq zechciał, mógłby się udać do niego z wizytą. Ale przecież nie chciał.

Energicznie złożył kartkę i wsunął ją do kieszeni płaszcza, tam gdzie trzymał notes.



Paul i Jori poznali się dnia, gdy obaj po raz pierwszy przekroczyli próg zuryskiego gimnazjum: Paul w półbutach firmy Bally, a Jori w sznurowanych trzewikach, których podeszwy były jeszcze oblepione błotem rodzinnego gospodarstwa – idąc do dyliżansu pocztowego, musiał przemierzyć pole.

Na czas nauki Jori miał zamieszkać u wuja w Zurychu i zjeżdżać do domu tylko na soboty i niedziele. Tak zdecydowała matka, narzucając swą wolę ojcu. Każdy we wsi wiedział, że nie jest zadowolona ze swego życia, że nie jest wieśniaczką, jak inne kobiety w gminie. Widać to było po jej postawie i ostrożnych krokach, którymi przemierzała obejście. Sama postanowiła, że wyprowadzi się z Zurychu na wieś i wyjdzie za wieśniaka, ale syna nie chciała w to mieszać; Jori kiedyś miał sam zdecydować, czy obejmie gospodarstwo po rodzicach. W tej kwestii matka zawsze zachowywała się tak, jakby Jori był wyłącznie jej synem. Jakby urodziła go tak czy inaczej – w Zurychu czy w Finsterhennen.

Paul, ze swoimi starannie uczesanymi włosami i nienaganym strojem, nie mógł się bardziej różnić od Joriego, a jednak obaj chłopcy zapalali do siebie sympatią, być może za sprawą szczyrych, którym Paul pewnego dnia musiał odciąć sznurówki butów Joriego od nogi krzesła. Nożyk miał pięć dobrze wyszlifowanych ostrzy, Paul zaś pozwalał im mu używać do strugania patyków, kiedy tylko zechciał. Był to początek głębokiej przyjaźni.

Paul też mieszkał w Zurychu tylko w ciągu tygodnia. W piątkowe wieczory wracał do rodziców, którzy mieszkali na brzegu Jeziora Zuryskiego w odległości godzinnego marszu. Pozostały czas chłopcy spędzali razem, przeważnie na brzegu Limmatu albo leżąc na wznak na łące w ogrodzie botanicznym. Kiedy się uczyli, Jori trzymał podręcznik w wyciągniętych do słońca rękach i na głos czytał teksty i zadania, podczas gdy Paul leżał w cieniu z wyprasowaną białą chusteczką na czole. Z jakichś powodów, wymykających się diagnozom lekarzy, Paul cierpiał na przewlekłe bóle głowy i w końcu musiał powtórzyć pierwszą klasę gimnazjum. Zaś Jori, który nie obrażał sobie szkoły bez Paula, wraz z nim dobrowolnie został na drugi rok. W tamtym czasie Jori wierzył, że na całym świecie nie ma innego człowieka, którego mógłby polubić tak jak Paula. Aż zjawiała się Pauline.

Kiedy Jori ujrzał ją po raz pierwszy, był od niej niższy prawie o głowę, lecz nawet z tej wysokości podziwiał ją z zapalem graniczącym z uwielbieniem. Pauline bowiem, z jej warkoczami, bladą cerą i promiennymi oczami, które zawsze były wpatrzone gdzieś w dal, jakby oczekiwały od świata czegoś wielkiego, nie tylko wyglądała jak złota Bethli ze starej bajki – więcej: była idealnym żeńskim odpowiednikiem swego brata.

– To moja siostra – przedstawił ją niepotrzebnie Paul. Jori niemal jej się pokłonił. Pomyślał o błocie, które wciąż – albo znowu – tkwiło w szczelinach podeszew, tak głęboko, że tylko on wiedział, iż tam jest. Nerwowo wytarł dłoni o spodnie, by potem tylko wsunąć ją do kieszeni.

Rodzice Paula wybrali się do Zurychu w interesach i wzięli ze sobą Pauline. A ta, usłyszawszy, że Paul jest umówiony z Jorim, zapragnęła przyjechać.

Jori nie miał nic przeciwko temu, wręcz odwrotnie, tyle że odkrycie, które chciał pokazać przyjacielowi tego popołudnia, z pewnością nie było odpowiednie dla dziewczynek, co obwieścił przepraszającym tonem. Nie wiedział jeszcze, że Pauline sama decydowała o tym, co jest odpowiednie dla dziewczynek, a co nie. A słowo „nie” miało moc sprawczą tylko wówczas, gdy padało z jej ust.

Ostatecznie w trójkę wyruszyli ku torom kolejowym na porośniętym trawą stoku góry, kilkaset metrów powyżej jeziora. Był piękny dzień, niebo ustroiło się w welon obłoków, a łąka zachęcała, by się na niej położyć, ale Jori nie odrywał wzroku od Pauline. Dużo się śmiała, kiedy mówiła. Miała miły głos, który Jori potrafił sobie wyobrazić przy akompaniamencie fortepianu, i nieustannie się śmiała – perlistym, delikatnym śmiechem. Gdyby Jori już wtedy wiedział, jak bardzo jest krucha.

Pod torami mieścił się otwór, mniej więcej dwa razy większy od jamy borsuka, ale szerszy. Kiedy Pauline zapewniła, że sukienka, którą ma na sobie, jest już stara, we trójkę wcisnęli się do jamy. Dziewczynka z chichotem wpełzła pod szyny, by położyć się płasko na wznak, ze wzrokiem skierowanym ku niebu spod metalowych i drewnianych belek. Po prawej stronie, w takiej

samej pozycji, położył się Jori, a w miejsce po lewej, jako ostatni, wczółgał się Paul. Jori widział w jego oczach strach.

– Która godzina? – zapytał Jori.

Paul na leżąco próbował dostać się do zegarka.

– Dokładnie sześć po czwartej.

– Więc jeszcze trzy minuty.

Czekali, a ciszę wypełniało tylko bicie ich serc. W końcu z oddali dobiegł turkot. Szyny zadrżały, a kiedy dźwięk zaczął się zbliżać, uśpione żelazo zdawało się budzić do życia, jakby w szynach nagle popłynęła krew. Jori dotykał ramieniem Pauline, czuł, jak dziewczyna się spina, jak jej oddech przyśpiesza. On też wstrzymał oddech. Hurkot spotężniał i przerodził się w łoskot. Szyny drgały i podskakiwały, napierały na kołki przytwierdzające je do ziemi. Pociąg dudnił głośniejsze i głośniejsze. W końcu Paul krzyknęła. Jori drgnął. Kącikiem oka zobaczył, jak przyjaciel uderza głową o podskakujące szyny, jak prostuje się i z przerażeniem wyczołguje z jamy. Pauline spoglądała w ślad za bratem, najwyraźniej usiłując zwalczyć impuls nakazujący jej podążyć za nim. Niepewnie obróciła twarz ku Joriemu, ale było za późno, by coś powiedzieć lub choćby uśmiechnąć się krzepiąco. Pociąg zatrąbił i sekundę później zapadła ciemność. Lokomotywa przetoczyła się nad nimi z ogłuszającym łoskotem, od którego oboje się wzdrzygnęli; Pauline chwyciła go za rękę – a może to on chwycił ją – ich palce splotły się w mroku i zacisnęły, gdy koła pociągu sypały iskrami tylko parę centymetrów od ich twarzy. Jori czuł przywierające do niego ramię dziewczynki, czuł, jak drży, i myślał, że na pewno zamknęła oczy. W rzeczywistości jednak tak samo jak on wpatrywała się z fascynacją w pasma światła rozbłyskujące niczym błyskawice tam, gdzie kończył się jeden wagon a zaczynał

następny. I znów iskry. Drżenie ramion Pauline przybrało na sile i Jori dopiero teraz zmiarkował, że dziewczynka się śmieje. Śmiała się głośno i był to śmiech pełen swobody, zachwytu, który niki w hałasie pociągu, śmiech pełną piersią, trwający jeszcze, gdy ostatni wagon przetoczył się z dudnieniem nad nimi. Jori popatrzył na Pauline. Słońce świeciło jej w twarz. Nie mógł inaczej – musiał się przyłączyć do jej śmiechu. Rechotali oboje spiętą piersią, wyrzucając z siebie ulgę, podczas gdy w oddali cichły turkot i trąbienie pociągu. I wciąż trzymali się za ręce.

– Niedługo będzie miała szesnaście lat – powiedział cicho Paul, kiedy szli przez łąkę, a Jori i Pauline nadal z uśmiechem rzucali sobie zawstydzone spojrzenia. Powiedział to poirytowany i tak, jakby Joriemu robiło to jakąś różnicę. W szkole właśnie poznawali regułę trzech i ułamki, a Jori był w tym dobry: wiedział, że kiedy skończy osiemnaście lat, Pauline będzie miała dwadzieścia dwa, a kiedy on będzie miał dwadzieścia, ona dwadzieścia cztery. Będzie wówczas starsza od niego już tylko o dwie dziesiąte. Dwie dziesiąte, tylko tyle. To dwa z dziesięciu kawałków tortu albo jedna z pięciu szklanych kulek. Jori nie zamierzał trzymać się ich za wszelką cenę. A w ogóle to po co komu szklane kulki?

Zbiegli po porośniętym trawą zboczcu – ostatni odcinek drogi powrotnej do miasta.



Kobietę było czuć, zanim się ją zobaczyło. Jej uryna skapywała żółtymi kroplami z leżanki, na której ułożono ją dla celów pokazu; zapach niezdrowego kału przywitał dwunastu mężczyźni szyderczym objęciem.

Jakże to było typowe dla Anabelle Bouchon. Za każdym razem, gdy salowe zabierały ją, by przygotować na odwiedziny, nie pozwalała wycisnąć ze swego chudego ciała choćby kropelki – nawet lewatywa nie mogła jej skłonić do oddania stolca. Lecz gdy tylko wyprowadzono ją na obchód z sali sypialnej, a mężczyźni zbliżyli się do leżanki, rewanzowała się im odpowiednio za ich zainteresowanie.

Co bardziej eleganccy uczestnicy obchodu dyskretnie podsuwali pod nos nasączoną chlorem chusteczkę. Inni na siłę przybierali obojętne miny, ignorując fetor, jakby już dawno nawykli do tego rodzaju zapachów – zahartowani i doświadczeni lekarze, odporni na wszystko. Jednakże i oni wodzili niespokojnie wzrokiem przy każdym krzyku dobiegającym z przepelnionych pomieszczeń. Salpêtrière może i było najsłynniejszym szpitalem w całej Francji, może i najnowocześniejszym, lecz nic nie mogło ukryć faktu, że w całej tej nowoczesności leżały blisko cztery tysiące chorych, starych i obłąkanych, którzy jęczeli, bo umierali, albo płakali, bo jeszcze żyli.

Jori popatrzył na Paula. Jego też ogarnęła niechętna fascynacja na widok przywiązanych ciał. Charcot określił zakład mianem żywego muzeum patologii i słowa te nie mogły być bardziej trafne. W tym miejscu spotkać można było wszystko to, co gdzie indziej występowało jedynie w podręcznikach albo na rycinach, tu zaś było starannie rozlokowane po osiemdziesięciu budynkach i posegregowane wedle symptomów choroby i szans na ozdrowienie. Pod rządami Charcota Salpêtrière ze zwykłego hospicjum stało się gigantycznym ośrodkiem badawczym, w którym nigdy nie ustawał napływ chorych. Nie chodziło tylko o to, by dać dach nad głową tym wszystkim obłąkańcom i przypatrywać się star-

com w agonii. Chodziło o naukę. Dlatego szpital nie mógł sprowadzić nikogo lepszego od doktora Jeana-Martina Charcota.

Stojący u wezglowia łóżka Georges Guinon wziął do ręki teczkę z historią choroby.

– Czterdziestotrzyletnia pacjentka z objawami spastyczności. Kiedy przywieziono ją do nas sześć lat temu, już od dwóch lat cierpiała na nawracające skurcze kończyn, przede wszystkim w lewej połowie ciała, nieobejmujące jednak twarzy. – Urwał i poszukał w skoroszycie informacji, o których zapomniał. Guinon od ponad roku był asystentem Jeana-Martina Charcota i jako taki wykonywał również pracę sekretarza. Miał protokolować wywiady z chorymi, raportować i asystować przy pokazach. Jori był jednak niemal pewien, że trzydziestopięcioletek wyręczał neurologa też we wszelkich innych czynnościach. Guinon robił to ze skwapliwością i służalstwem, jakimi Jori się brzydził. Gdziekolwiek pojawiał się Charcot, sługus Guinon na pewno był w pobliżu. Chodził za nim po Salpêtrière jak piesek, zawsze krok za swym panem, łaszcząc się i atakując każdego, kto za bardzo się zbliżył do Charcota. Lecz był jak pies, który gryzie ze strachu, co stawalo się oczywiste, gdy spotkało się Guinona bez jego pana. Tak jak dzisiaj. Charcot był zaproszony na wykład poza miastem i dlatego na obchód – odbywający się w każdy wtorek przed wielką *Leçon du mardi* – wysłał samego asystenta. I choć Guinon był obeznany z pacjentami i tak łapczywie spijał słowa z ust Charcota podczas jego cotygodniowych dyskursów, że mógł je cytować z pamięci, teraz stał ze zwieszonymi ramionami i raportował historię choroby pacjentki, cedząc słowa w brodę, jakby chciał w niej ukryć i chorą, i siebie.

– Jest niezmiernie ważne, aby nasze pacjentki dobrze i regularnie miesiączkowały. W przypadku tej chorej krwawienia często

ustawały, następnie pojawiały się bardzo intensywne. Jedno i drugie, jak wiadomo, prowadzi do powstania zaburzeń histerycznych. Zaradziliśmy temu ciepłymi kąpielami nasiadowymi, pięć razy w tygodniu po trzy i pół godziny. Wspomagająco zastosowaliśmy terapię specjalną prasą do ugniatania jajników, zwaną również kompresorem. Samopoczucie chorej początkowo się poprawiło, później jednak pojawiły się skurcze również w prawej połowie ciała, a w marcu siedemdziesiątego dziewiątego roku opanowały twarz. Skurcze mogą występować spontanicznie, szczególnie podczas zbliżenia lub dotykania ciała, dlatego wychodzimy z założenia, iż mamy do czynienia ze skurczami na tle histerycznym. Przemawia za tym też niestabilny stan nerwowy pacjentki.

To było nie do zniesienia. Prowadzone przez Charcota obchody przypominały fascynujące wizyty w gabinecie grozy na jarmarku. Słynny neurolog zawsze potrafił znaleźć trafny mieszmasz cielesnych anomalii, rozszczepów kręgosłupa, pięknych histeryczek, kobiet odmawiających jedzenia lub starych suchotniczek, by przykuć uwagę publiczności i utrzymać napięcie aż do samego końca – choćby dlatego że o każdej pacjentce mógł opowiedzieć jakąś zabawną anegdotę. I właśnie ze względu na obecność Paula Jori był zły, że akurat dziś muszą się zadowolić Guinonem, który klepał akta choroby jak przepisy kulinarne, ograniczając się do zdawkowej diagnozy.

– Skurcze najłatwiej wywołać na twarzy, co zaraz zademonstruję.

Już chyba obchód po kostnicy byłby mniej nużący. A przy tym Anabelle, ze wszystkimi jej przywarami, była jednym z najbardziej obrazowych przypadków w Salpêtrière. Poddana hipnozie, potrafiła zaprezentować ciałem wszystkie cztery fazy hysterii, a kiedy wywierało się nacisk na krtań, demonstrowała widzom

skurczony w spazmie język. Pokaz taki wymagał jednak odpowiedniego wprowadzenia. Należało obudzić w widzach ciekawość, rozniecić żądzę sensacji. Przy tym, jak się brał do rzeczy Guinon, przybyli panowie nawet nie zadadzą sobie trudu wyciągnięcia szyi, by śledzić przedstawienie.

Asystent wyjął z kieszeni drewniany sztyft i niepewnie zbliżył się do Anabelle. Chora rozwarła oczy, zeszywniała i wygięła się w łuk, wciskając głowę i szyję głęboko w poduszkę. Przez chwilę wyglądało to tak, jakby chciała krzyknąć, ale potem tylko ściągnął się w paroksyzmie lewy kącik jej ust. Kobieta odwróciła głowę w prawo, by uniknąć Guinona i jego drewnianego przyrządu. Asystentowi drżała ręka. Nieporadnie próbował trafić miejsce na krtani Anabelle, które miało wywołać atak, ale pacjentka tylko silniej przyciskała prawą połowę twarzy do poduszki i wywijala się od instrumentu. Guinon musiał dźgać nim niemal na ślepo, a sztyft co rusz ześlizgiwał się z szyi. Jori widział, jak pot perli się na czole asystenta, który przestąpił na bok, by ułatwić sobie dostęp do szyi Anabelle; teraz już prawie na niej leżał, co było wstydlive i bardzo amatorskie. Jori rzucił spojrzenie na Paula, który zupełnie słusznie spoglądał z rozczarowaniem. Ogarnęła go potrzeba przeproszenia za zachowanie Guinona. Lecz właśnie w tym momencie Anabelle w końcu wydała z siebie bulgotliwy okrzyk zwiastujący napad. Zabrzmiało to zupełnie tak, jakby się topiła we własnym łóżku. Jak na komendę mężczyźni stłoczyli się wokół niej, by zapewnić sobie widok na twarz chorej, zasłanianej przez asystenta. Pozbawiono ich widoczności akurat w chwili, w której nastąpił atak. Było to wprawdzie przykre, ale jednocześnie wprowadziło odrobinę napięcia, w końcu chcieli obserwować obiecane spazmy: wykrzywione usta, upiorne oczy, drżące

w konwulsjach pięćdziesiąt mięśni, skrywających się – zgodnie z najnowszymi naukowymi ustaleniami – pod skórą twarzy. Jori zobaczył żądzę w oczach Paula; położył rękę na ramieniu towarzysza i przysunął usta do jego ucha.

– Jeśli to ci się podoba, przyjacielu, to zobaczysz, co się będzie działo podczas *leçon!*

Paul skinął głową, nicobecny myślami. Nie odwrócił się do Joriego.



Salpêtrière od tysiąc osiemset dwudziestego trzeciego roku nosiło nazwę Hospice de la Vieillesse-Femmes – starcze hospicjum dla kobiet. Rzeczywiście było bardziej hospicjum niż szpitalem, gdyż w większości przypadków trafiało się tu nie po to, by ozdrowieć, lecz po to, by umrzeć, jednak przeważającą część pacjentów stanowili obłąkani i chorzy nerwowo. Paula zdumiewały rozmiary kliniki, a także parki, ogrody i fontanny leżące pomiędzy poszczególnymi budynkami. Zdumiewała go nowoczesność studia fotograficznego – wykonywano w nim zdjęcia histeryczek, które można było potem znaleźć we wszystkich fachowych czasopismach. Zdumiewało go również samo pomieszczenie, które Charcot urządził tylko po to, by sporządzać odlewy z gipsu. Doktor kazał wytwarzać naturalnej wielkości posągi, kopie chorych, wystawiane później w muzeum. Muzeum to przypominało osobliwy gabinet figur woskowych, a odkąd Charcot zorganizował je dziewięć lat temu w piwnicach Division Pariset, jego zadeklarowanym celem było codzienne wzbogacanie zbiorów o nowy anatomiczny okaz: gipsowy odlew, fotografię, szkielet, zdefor-

mowaną kość albo rysunek. Był to martwy odpowiednik żywego muzeum, które Charcot zastał w Salpêtrière po swoim przybyciu – a jednak ani trochę nie sprawiało wrażenia martwego. Po lewej stronie od wejścia na materacu leżała stara syfilityczka, naga i tak wychudzona, że przez matową skórę wystawały gnaty. Jedna zgięta ręka spoczywała na łóżku, druga na kości łonowej. Trzeba było dobrze się przyjrzeć, by stwierdzić, że ma się do czynienia z figurą woskową. Nawet półotwarte usta i krótko ostrzyżone włosy wyglądały tak realnie, że odnosiło się wrażenie, jakby wciąż jeszcze wydzielala zapach choroby.

Za nią stało popiersie innej kobiety, której twarz zniekształciło połowiczne porażenie. W lewej ręce trzymała chusteczkę; wyglądała, jakby przerażał ją widok grupy mężczyzn, którzy weszli do pomieszczenia.

Dopiero tam, gdzie kobiety nie były już woskowymi figurami, kończyła się fascynacja Paula. Nie wiedział, jak się obchodzić z cierpieniem nagromadzonym w salach. Pomieszczenia śmierdziały pomimo ulepszonych systemów wentylacyjnych, zaś skargi i krzyki przywiązanych do łóżek wykańczały go. Pewna kobieta, której nie przywiązano, rzuciła się znienacka na ziemię pod nogi mężczyzn, symulując atak. Potrzebne były trzy silne strażniczki, by ją pojmać i odprowadzić.

Jori zauważył, że Paul, oglądając takie rzeczy, trzyma się bliżej grupy; widział też, jak zmienia się jego twarz. Wrażenia wnikały w niego bardziej, niż je do siebie dopuszczał. Uwięźną tam i nie opuszczą go już nigdy – Jori wiedział to z doświadczenia. Paul przywyknie do tego, pomyślał, przyzwyczai się, jak wszyscy.

Po obchodzie ruszyli do audytorium, gdzie pełno już było lekarzy, studentów, pisarzy, dziennikarzy i aktorów. Jak zawsze

pod sceną wielkiego Jeana-Martina Charcota zgromadził się *tout Paris*.

Paul i Jori dołączyli do grupy młodych mężczyzn rozmawiających nieopodal wejścia. Dwie z czterech twarzy wydały się Joriemu znajome, choć tak naprawdę była to tylko jedna twarz w podwójnym wydaniu. Należała do dwóch tęgawych braci, którzy pracowali dorywczo jako praktykanci w aptece i – pomijając szeroką szparę między siekaczami – wyglądali dokładnie tak samo, przez co Jori skrycie nazywał ich Chang i Eng Bunker, po pierwszych syjamskich bliźniętach, które zostały opisane naukowo.

Poza Changiem i Engiem wśród mężczyzn byli jeszcze absolwent medycyny z południa Francji, przybyli po to, aby słynny Jean-Martin Charcot wprowadził go w tajniki hysterii, oraz dwóch intelektualistów z Montmartre'u, po których widać było, że najbardziej interesuje ich wprowadzenie w samą materię kobiet. Odkąd pojawiła się plotka, że w audytorium Salpêtrière panuje większa rozwiązłość niż w Moulin Rouge, wizyta na wykładach Charcota stała się dla bohemy tak samo obligatoryjna, jak rozpięty płaszcz czy cygaro nonszalancko zwisające z kącika ust.

– Przebąkuje się, że Charcot poprzez pobudzenie pewnych punktów uciskowych w macicy sprawia, iż kobiety zaczynają tańczyć – powiedział jeden z palaczy cygar. – Mówią, że ma przyrząd nazywany Sex Bâton. Za jego pomocą można sprawić, że kobitki krzyczą i wyginają się, tak że tej czy owej czasem podwinie się sukienka. Mój dobry znajomy był tu dwa tygodnie temu i opowiadał mi o jednej, której kitel zsunął się aż do pępka. – Zade monstrował ręką wysokość, na wypadek gdyby studenci medycyny zapomnieli, gdzie się znajduje pępek. W oczach zebranych błysnęła zazdrość. – Słyszał pan o tym, Eugén?

Wszystkie oczy zwróciły się na Paula. Odkąd Jori sięgał pamięcią, jego przyjaciel zawsze przedstawiał się jako Eugen Bleuler. Jori był jedyną osobą, która zwracała się do niego pierwszym imieniem: Paul, brat Pauline. To czyniło relację między nimi wyjątkową, a jednak coś mu przeszkadzało w sposobie, w jaki teraz Francuz wymówił jego imię: Eugén, z akcentem na ostatnią sylabę i na wół połkniętym „g”, zupełnie jakby imię to wrosło już we francuski, a Paul wraz z nim. Przyjaciel wzruszył ramionami.

– Nie wiedziałem, że potrzebny jest Sex Bâton, by doprowadzić kobietę do krzyku – odparł na swój zwykły, sztywny sposób, odrobinę kalecząc francuski, przez co jegomość z cygarem zrozumiał żart z chwilowym opóźnieniem. Sekundę później i on, i jego przyjaciel zarechotali zupełnie nieintelektualnie, zaś Chang i Eng pokazali szpary między siekaczami, rozciągając w uśmiechu pucołowate policzki. Inni mężczyźni zerkali ku nim, zaciekawieni, ale i trochę rozczarowani, że przegapili dobry dowcip. Chociaż, jak uznał Jori, był on raczej kiepski.

Paul niewiele kobiet w swoim życiu doprowadził do krzyku, z czego Jori doskonale zdawał sobie sprawę. Chociaż dawniej, w szkole i w studenckim związku piwnym, przyjaciel z nich dwóch był tym bardziej lubianym, z grubszym portfelem i lepszymi anegdotami, to dziewczęta chętniej interesowały się cichym Jorim. Lecz jemu właściwie było to obojętne. Jori byłby całkiem szczęśliwy w świecie, w którym istniałaby tylko rodzina Bleulerów, wówczas miałby najlepszego przyjaciela, a także dziewczynę, którą chciał poślubić.

Ubodło go jednak, że Paul kpi z wynalazków Charcota, i to zaledwie dwie godziny po przybyciu do Paryża. Sex Bâton był czymś wspaniałym, Jori często widywał to urządzenie w akcji,

ponadto było ono niezbędne w terapii hysterii. Gdyby Charcot go nie wynalazł, wciąż konieczne byłoby traktowanie punktów histeriogennych pięścią.

Był rad, kiedy zabrzmiał dzwonek zwiastujący rozpoczęcie pokazu. Nowe audytorium Charcota mogło pomieścić czterysta osób, lecz większość mężczyzn pośpieszyła, by zająć miejsca w którymś z pierwszych rzędów. Jori skierował się ku swemu ulubionemu miejscu – po zewnętrznej lewej stronie. Z Pauliem będą mieli stąd doskonały widok, nie musząc się przeciskać obok innych widzów. Sztucznie podtrzymywane rozmowy ucichły. Gwar ustąpił przytłumionym głosem i pokasływaniu. Atmosfera przypominała tę w kościele – spektakl mógł się rozpocząć.

Zza kurtyny wyłonił się Charcot, a za nim Guinon, który natychmiast skrył się w cieniu neurologa. U boku swego pana asystent odzyskał rezon i sumiennie przygotował ołówek i notes, by dokumentować przebieg wykładu. Protokół miał zapewnić zachowanie dla potomności geniuszu Charcota.

Jori popatrzył na Paula. Dobrze pamiętał swoją reakcję, kiedy sam po raz pierwszy ujrzał słynnego Jeana-Martina Charcota. Chociaż neurolog był niewielkiego wzrostu i wyglądem przypominał sępa ubranego w czarny kubrak, otaczająca go aura sprawiała, że każdy natychmiast milkł na skutek odczuwanego respektu. Może odbywało się to za sprawą małych, zimnych oczu, którymi lekarz świdrował rozmówcę, jakby wbijał szpilki w chrząszcza. Włosy zawsze nosił zaczesane do tyłu i wypo-madowane. Dokładnie pośrodku, przez przedziałek, przebiegał pojedynczy siwy kosmyk. Mężczyzna miał bladą, gładko ogoloną twarz o cofniętym czole i krzaczastych brwiach, rzucających dodatkowe cienie na oczodoły. Policzki i kąciuki ust zwieszały się

w dół, co nadawało mu wygląd ponuraka. Do tego miał mięsiste, prawie zmysłowe usta, przez które jednak nigdy nie przeszło ani jedno miękkie słowo. Wręcz przeciwnie – głos Charcota był władczy i twardy, a jego słowa sarkastyczne. Kiedy się złościł, jego szyja wraz z umięśnionym karkiem pęczniała tak bardzo, że przypominał chorego na dyfteryt. Charcot budził lęk – wśród pacjentów, ale też pielęgniarzy oraz studentów przybywających do Salpêtrière, by całować wiotką, mięsistą dłoń neurologa i zostać przyjętym do grona jego licznych uczniów.

Paul jednak nie mógł o tym wszystkim wiedzieć. Był częścią naiwnej publiczności, a publiczność uwielbiała Charcota, magika, który sprawiał, że kobiety tańczyły jak marionetki. Publiczność chciała spektaklu. I dostawała spektakl.

– Moi panowie! – Charcot stanął pośrodku przed kurtyną i uniósł ręce, jakby chciał uciszyć tłum, który wobec jego władczej aury już dawno umilkł. – Moi panowie, jak można przeczytać w programie, który znajdziecie na siedzeniach, dziś po raz ostatni zajmiemy się zjawiskiem płasawicy i tym tematem zamkniemy jesienny cykl. Gwoździem programu będzie pokaz stanowiący zwieńczenie naszych wykładów.

Charcot ustąpił na bok, a widzowie wyprostowali się na swych siedzeniach jak wygłodniałe kury. Kurtyna się rozsunała.

Na scenę wprowadzono szczupłą kobietę. Miała na sobie prostą spódnicę i bluzkę, zamiast zwykłego szarego kitla. Na jej twarzy malowała się bojaźń. Była odrobinę rozkojarzona, ale przytomna. Zatem Charcot nie planował na dziś pokazu hipnozy. Szkoda – ze względu na Paula. Za pomocą hipnozy dawało się dokonać najdziwniejszych rzeczy, a nie było na świecie innego miejsca, w którym uprawiano by ją na tak szeroką skalę, jak w Pa-

ryżu. Raz Jori obserwował nawet, jak u jednej kobiety pojawiły się na skórze pęcherze oparzeniowe, kiedy Charcot w hipnozie zasugerował jej, że dotyka jej ramienia rozpalonym żelazem. Pacjentka krzyczała, jakby rzeczywiście odczuwała ból.

Jori pochylił się na swym krześle i zmrużył oczy.

– Lunette Roche – wyrwało się mu. Niewiele brakowało, a nie rozpoznałby młodej kobiety. Na początku roku był świadkiem, jak Georges Gilles de la Tourette przeprowadzał na Lunette eksperymenty z elektrycznością. Była bledsza i szczuplejsza, niż Jori ją zapamiętał. Jej oczy się zapadły, a orzechowe niegdyś kędziory sterczały na głowie niczym pierze. Mimo że jej ubranie przed pokazem uprano i nakrochmalono, sprawiała wrażenie skołtunionej i brudnej.

U boku Lunette kuśtykała strażniczka – o nogach i plecach wykrzywionych jak szczepione ze sobą znaki zapytania, jednak silna w ramionach. Kiedy Lunette trąciła nogą podest, na którym miała zostać umieszczona, strażniczka szybko podniosła ją i ustawiła przed publicznością jak słomianą kukłę.

– Pierwszą pacjentką dzisiejszego wieczoru jest siedemnastoletnia dziewczyna, jak panowie widzą, delikatnej i dziecięcej statury. – Charcot podszedł do Lunette i obwiodł wskaźnikiem drobne kształty dziewczyny. Lunette natychmiast zeszywniała. Jori dostrzegł lekkie drganie jej lewej powieki. – Wygląda niepozornie, wręcz powściągliwie, a kiedy do nas trafiła, nie była obwieszona kwieciami i wstążkami, które tak lubią histeryczki. Proszę jednak nie dać się zwieść jej skromności, moi panowie, bowiem w tej młodej kobiecie tkwi histeryczka *par excellence*. – Urwał na moment i pozwolił oddziaływać swym słowom. Charcot był dobrym oratorem. Wiedział, o czym powiedzieć, a co pominąć milczeniem, by uskrzydlić fantazję słuchaczy. Przede wszystkim jednak wiedział, że lepiej demonstrować,

niż mówić. Wyprzedzał w tym wielu innych prelegentów. – Kiedy Lunette po raz pierwszy trafiła do nas, do Salpêtrière, we wrześniu osiemdziesiątego pierwszego roku, płasawica była u niej utrwalona na dobre. Napady trwały od godziny do półtorej i dzieliły je początkowo tylko krótkie przerwy. Stały natomiast był prawostronny ból okolic jajnika, który jest typowym objawem hysterii. Dzięki regularnej elektroterapii przeprowadzonej przez mojego asystenta de la Tourette’a – skinął w stronę publiczności, a Jori odwrócił głowę, by zlokalizować medyka – jej stan się ustabilizował. Napady z rzadka występują spontanicznie, dają się jednak wywołać przez pewne zabiegi, jak na przykład dotyk określonych części ciała ręką lub szpiczastym przedmiotem. – Powoli przejechał wskaźnikiem w dół ramienia Lunette, w odległości zaledwie paru centymetrów od jej ciała. Oczy dziewczyny rozwarły się z przerażenia. Drganie lewej powieki się nasiliło. – Zanim przejdziemy do demonstracji – czubek wskaźnika opadł i Charcot ponownie odwrócił się ku publiczności, która wyraźnie oklapła – proszę pozwolić, że w paru słowach nakreślę sytuację pacjentki i historię jej choroby. Nic nie wiadomo o obciążeniach dziedzicznych, jej rodzice zginęli w wypadku, przejechani przez powóz, kiedy dziewczynka miała trzy lata. Sama pacjentka została wówczas zakleszczona pod przednim kołem i odniosła liczne zgniecenia. Możemy zakładać, że związane z tym silne wzburzenie położyło kamień węgielny pod jej histeryczne usposobienie.

Charcot zaczął się przechadzać w tę i z powrotem przed publicznością, założywszy ręce na plecach. Całym sobą był nauczycielem, jakiego chciał odgrywać. Napawał się nabożną ciszą, przerywaną jedynie gorączkową pisaniną Guinona.

– Po tragicznej śmierci rodziców dziewczynkę początkowo oddano pod opiekę zakonu, gdzie siostry daremnie starały się

o uzdrowienie jej stanu moralnego. W sprawozdaniu sporządzonym przez siostry zakonne w maju siedemdziesiątego siódmego roku, tuż po dziesiątych urodzinach pacjentki, czytamy: „Kocha swą wolność nade wszystko; jej mowa i usposobienie nie są dobre”. Jeszcze nie przypuszczacie, moi panowie, co się kryje pod owym klasztorным sformułowaniem, ale wkrótce się dowiecie.

Charcot dotarł do krawędzi sceny i zaczął zataczać coraz mniejsze kręgi wokół chorej, która stała na podeście z miną, jakby oczekiwała na egzekucję.

– Wkrótce po sporządzeniu sprawozdania zakonnice oddały dziewczynkę do przytułku dla ubogich, gdzie przebywała prawie dwa lata. Pacjentce musiało się udać ukryć swą histeryczną naturę pod płaszczykiem złudnego wdzięku, którego ofiarą w marcu siedemdziesiątego dziewiątego roku padł czterdziestosześcioletni wieśniak z Igny. Wziął dwunastoletnią wówczas dziewczynkę do siebie jako dziewczkę, by wkrótce potem, w grudniu, ją poślubić. Wówczas jeszcze nie miał pojęcia o narowistej naturze i nieobyczajnym słownictwie naszej pacjentki. Pierwsze napady, jak wyznał nam wieśniak, ograniczały się do małżeńskiego łóżka, więc omyłkowo wziął jej wygibasy i wybuchy za rzekomą... – Charcot z błogością rozciągnął w ustach słowa, zanim posłał je ku widowni – ekstazę namiętności. Zmiarkował swą omyłkę dopiero po jakimś czasie, kiedy napady zaczęły występować w biały dzień i zupełnie bez jego udziału.

Jori zaobserwował, jak niektórzy z widzów po kryjomu trącają się łokciami. Bawiła ich wizja, że ich żony lub przyjaciółki nieoczekiwanie mogłyby dostać orgazmu. Lecz nie znali jeszcze pełnego wymiaru symptomów Lunette.

Na polecenie Charcota pałakowata strażniczka wystąpiła do przodu i zaciągnęła zasłony okienne. Przyćmiono lampy. W półmro-

ku można było dostrzec neurologa, jak podchodzi do maszyny stojącej niedaleko przedniej krawędzi sceny. Uruchoił jakiś przełącznik i urządzenie zabuczało. Niemal natychmiast całą ścianę w głębi sceny zalało jasne, białe światło. Charcot położył pierwszą fotografię i na ścianie pojawił się wizerunek kobiety – widziany od przodu i od tyłu. Przez zebranych przeszedł szmer. Nie wszyscy wcześniej zetknęli się z elektrycznym aparatem projekcyjnym, lecz sporo już o nim mówiono. Auditorium wyposażone było w najnowocześniejszą technikę. Kobieta na ścianie była większa od Lunette Roche, której ciało rzucało teraz na powierzchnię projekcyjną wąski czarny cień.

– Moi panowie, widzicie tu mapę kobiecego ciała z zaznaczonymi strefami hysteriogennymi. Ta sama ilustracja jest umieszczona w broszurach z programem, które otrzymaliście. Bardzo interesującym i osobliwym jest fakt, że punkty hysteriogenne nigdy nie znajdują się na kończynach. Można je jednak znaleźć na przedniej stronie tułowia, przedniej części głowy, w okolicach mostka, pod piersiami, w okolicach przydatków, w pachwinach i z tyłu, między łopatkami. Rzadziej ponad górnym kątem łopatki, w okolicy lędźwiowej i na kości ogonowej.

Charcot pokazywał odpowiednie miejsca wskaźnikiem. Punkty hysteriogenne były jego wytłumaczeniem na niemal każdy rodzaj schorzenia występujący w klinice, dlatego powtarzał tę część wykładu co parę tygodni. Chodziło tu o mniej lub bardziej ograniczone miejsca na ciele, z reguły nie większe niż pięciofrankowa moneta, będące siedliskiem szczególnej wrażliwości. Ucisk na nie mógł wywołać przenikliwy ból, a zwykłe pocieranie – zjawisko aury histerycznej. Jeśli zwiększyć ucisk lub wykonywać pocieranie odpowiednio intensywnie i długo, można wywołać atak hysterii. Dziecinnie proste.

Ktoś z tyłu popukał Paula w ramię; w ciemności Jori mógł tylko się domyślać, że musiał to być palący cygara intelektualista z Montmartre'u.

– Gdyby kobiece ciało pod wszystkimi względami było takie proste w obsłudze – szepnął.

Ku rozczarowaniu Joriego uwagą tą wywołał śmiech Paula.

Ponownie zapalono światła, a aparat wyłączono. Niektórzy studenci wyjęli program, by dalej studiować ilustrację. Miała wielkość pocztówki. Charcot, w pozie przypominającej oficerską, zacisnął pod pachą wskaźnik i wrócił do Lunette. Kiedy znów się odezwał, zabrzmiało to, jakby zapowiadał otwarcie bufetu na bankiecie:

– W istocie wnikliwe badanie wykazało, że chora ma wydatną strefę hysteriogeną nie tylko po prawej wewnętrznej stronie okolicy pachwinowej – pokazał wskaźnikiem na biodro Lunette – ale i na wewnętrznym obszarze wargi sromowej po tej samej stronie. – Czubek witki powędrował niżej. – To rzadkość, moi panowie, dlatego miejsca tego nie znajdziecie na ilustracji. Pokazuje nam to również, jak skrupulatnie musimy postępować podczas badania, by nie pominąć nawet najmniejszego punktu hysteriogenego na ciele kobiety.

Młody student w rzędzie przed Jorim i Paulem wyjął ołówek i z gorliwą sumiennością naniósł wspomniany punkt na rysunek w broszurze. Zakreślając okrąg na wardze sromowej, wysunął język spomiędzy warg.

Czubek wskaźnika Charcota nadal tkwił między nogami Lunette. Powieka kobiety drgała silniej niż przedtem, zaś Jori dostrzegł, jak dodatkowo chwieje się jej prawe kolano. Zaraz potem zadrżała jej dolna warga. Wyglądało, jakby lada chwila miała się rozplakać.

– Widzicie panowie, że dla wywołania napadu niepotrzebny jest wielki wysiłek. Strefa hysteriogenna jest tak wrażliwa, że już zwykle zbliżenie się wystarcza, by sprowokować drżenie. A teraz proszę sobie wyobrazić, jaki wpływ musi mieć dotykanie tejże strefy podczas aktu płciowego!

Wyobrażali sobie. I to jak. Mężczyzna w garniturze po prawej stronie Joriego otarł czoło chusteczką. Paul, jeszcze bardziej wyprostowany i spięty niż dotychczas, wpatrywał się w Lunette.

– Pomyślicie panowie pewnie, że to tylko częściowo tłumaczy ataki – ciągnął Charcot, choć żaden z mężczyzn nie wyglądał, jakby w tej chwili szczególnie intensywnie myślał. – I macie rację! Gdyż, jak już wspomniałem, drżenie zdejmuje naszą pacjentkę także wtedy, gdy nie jest dotykana. – Lunette zaczęła oddychać szybciej. Charcot wreszcie opuścił wskaźnik. – Te spontaniczne napady zdają się poprzedzane jedynie przez drżanie lewej powieki; z jakiej przyczyny, tego nie wiemy. Przypuszczalnie mamy tu do czynienia z siłą myśli, które platają tej młodej kobiecie figła, albo z przykrymi konsekwencjami traumatycznego wstrząsu wywołanego stratą rodziców. Możemy w każdym razie wywołać napad sztucznie, poprzez dotyk którejś ze wspomnianych stref, poprzez pociągnięcie prawego ramienia lub, czego dokonam za chwilę, poprzez uderzenie młotkiem jednego z więzadeł rzepki. – Charcot się odwrócił. Za nim stał uczynny Guinon z gumowym młoteczkim i czymś w rodzaju boa z piór. – Ponieważ po zeszlotygodniowym pokazie pojawiły się skargi, że w ostatnim rzędzie nie było widać drżania, pozwoliłem sobie przygotować dziś coś szczególnego.

Charcot sięgnął po przedmiot przypominający boa i uniósł go. Były to rzemyki o różnej długości, do których poprzyszywano

duże, kolorowe strusie pióra. Jori zastanawiał się, czy były to te same pióra, które w latach osiemdziesiątych pomogły neurologowi zapisać się w annałach historii. Wówczas powstał spór o to, w jaki sposób drżączka pacjentów z chorobą Parkinsona różni się od innych form konwulsji, Charcot zaś ustawił w audytorium szereg pacjentów, z których każdy miał przywiązane do głowy pióro, tak aby widzowie mogli porównać różne formy tremoru. Miało to miejsce, zanim Jori trafił do Salpêtrière. Często żałował, że go przy tym nie było.

– Czy mógłbym poprosić dwie osoby z publiczności, by pomogły nam w umocowaniu piór?

Charcot skinął w stronę pierwszego rzędu i dwóch studentów rzuciło się do pomocy.

– Jeden rzemyk na głowie, po jednym wokół kolan, dwa na łokcie i po jednym na nadgarstki. Aczkolwiek zobaczą panowie, że zamaszyste ruchy ramion i tak będzie widać nawet w ostatnim rzędzie. – Charcot z aprobatą obserwował starania młodych mężczyzn, którzy przywiązywali rzemyki do odpowiednich partii ciała kobiety. Końcówki troczków co chwila wyslizgiwały się z ich powilgotniałych od potu palców. – Zgódźcie się jednak na tę przyjemnośćkę, moi panowie, a tym wyraźniej zdołacie zaobserwować, jak głowa i tułów wstrząsane są całkowicie paradoksalnie i niezależnie od siebie, zupełnie inaczej niż w przypadku równomiernych wstrząsów w chorobie Parkinsona.

Wreszcie studenci przywiązali pióra. Charcot sprawdził węzły i naciągnął mocniej rzemyk na prawym ramieniu. Lunette stała przed widownią z szeroko rozwartymi oczami; sprawiała wrażenie, jakby się koncentrowała. Zaciśnęła usta. Jej prawe kolano drgało. W kostiumie z piór wyglądała jak wyskubany bażant.

Rozpoczął się pokaz.

Charcot cofnął się o krok i uderzył młoteczkiem w lewe kolano Lunette, to stabilne, na którym spoczywał ciężar jej ciała. Zachwiała się i ugięła kolano – przez chwilę wyglądała, jakby miała upaść, ale potem przez jej lewą nogę przeszedł skurcz, który nicomal ją katapultował. Chora odzyskała równowagę, upierzone ramiona wystrzeliły do góry jak wiedzione niewidzialnymi sznurkami, a jej nogi zaczęły silnie dygotać. Charcot zarejestrował to z zadowoleniem.

– Moi panowie, teraz widzicie, dlaczego wielką, epidemiczną płasawicę *chorea major* zwykło się nazywać tańcem Świętego Wita – skomentował. – Gdy pobudzenie ogarnie nogi, zostają one wprawione w nieustanny ruch. Chora drepcze naprzemiennie, nicomal naśladując cygański taniec.

Rozgorączkowana publiczność wstrzymała oddech. Guinon próbował pisać na ślepo, jednocześnie obserwując dziewczynę.

– Proszę popatrzeć, jak konwulsyjnie drgają ręce!

Ramię Lunette wystrzeliło do przodu, o włos minęło orli nos Charcota i uderzyło o płaską pierś kobiety. Wciąż usilnie zaciskała usta, by stłumić krzyk. Jori wiedział, co nastąpi.

– Chora mocno i rytmicznie okłada ręką swoje ciało ruchami przypominającymi ciosy młotkiem, raz po raz pocierając nią udo. Mam nadzieję, że tym razem panowie w ostatnim rzędzie to widzą?

Widzowie w tylnej części sali jak na komendę poderwali się z miejsc, by mieć jeszcze lepszy widok na scenę, co wobec podrygujących i trzęsących się kolorowych piór było całkowicie zbędne. Jori nie odrywał wzroku od zaciśniętych warg Lunette; czekał na to, co wstrzymywała za ustami. Zaczął powoli odliczać.

Dziesięć.

– Wreszcie pojawiają się rytmiczne ruchy głowy w lewo i w prawo, gwałtowne, wymykające się wszelkiemu wytłumaczeniu.

Dziewięć.

– Mmmmh... mhhhh... – jęknęła Lunette. Jej nogi trzęsły się już tak bardzo, że nicomal zrzucało ją z podwyższenia.

Osiem.

– Proszę zwrócić uwagę na to, jak sprzeczne gesty zakłócają ogólny kierunek ruchów i odwodzą go od ich celu. Właśnie to stanowi fundamentalną różnicę od drżączki przy stwardnieniu rozsianym!

Siedem.

– Czy widzicie panowie, jak ramiona popadają w coraz bardziej rytmiczne ruchy? Zataczają szerokie kręgi, jakby chora chciała ucierać jajka.

Sześć.

– Mhhhh... mhhhhhhh... – jęczała Lunette, otwierając oczy jeszcze szerzej, podczas gdy jej głowa uderzała w drgawkach o wyciągnięte ku górze ramiona. Stopami bębniła głośno o drewniany podest.

Pięć.

– Mimo to, powtórzę raz jeszcze, ruchy głowy są całkowicie niezależne od ruchów kończyn.

Cztery.

Twarz Lunette poczerwieniała. Wydawało się, jakby zaraz miała pęknąć. Jori zastanawiał się, czy nie zaczął odliczać zbyt późno.

Trzy.

– I czy panowie w to uwierzą czy nie: przez cały czas trwania napadu pacjentka zachowuje niczym niezakłóconą świadomość. Pamięta wszystko, co zostało powiedziane i...

Dwa.

– Mmm... mmbb... *Baiseur!* – wyrwało się z ust Lunette.

Owszem, Jori zaczął za późno.

Mężczyźni cofnęli się na swych siedzeniach; spoglądali po sobie ze zgrozą, która równała się tej, jaka malowała się na twarzy Lunette. Skurwysyn. Pacjentka powiedziała: „skurwysyn”! O sekundę, pomyślał Jori. Spóźnił się o sekundę.

– Hopla! – zawołał Charcot z udawanym zdumieniem, lecz przez jego twarz przemknął uśmieszek. Neurolog napawał się przerażeniem publiczności.

– Mmmh... *Vicieux!* – krzyknęła na całe gardło Lunette. Jej twarz drgała tak bardzo, że aż odrzucało jej głowę do tyłu.

Niektórzy widzowie zaczęli szeptać między sobą ze wzburzeniem. Innym odjęło mowę. Dziewczyna chyba nie zawołała: „lubieżnicy”? Owszem, zrobiła to. Jori dojrzał konsternację na twarzy Paula i jego humor natychmiast się poprawił.

– *Enculé!*

Mężczyźni zerwali się z miejsc. Coś takiego w ustach młodej kobiety! Lunette wyglądała, jakby chciała się rozpłakać. Widać było, że cierpi.

– *Salopard!* Mmmmmh... *Enculé!* – Kolejne wstrząsy. Jori odwrócił się i poszukał wśród wzburzonej publiczności de la Tourette’a. Szybko go znalazł. Lekarz był jedynym w audytorium, który, jak Jori, pozostał zrelaksowany na swym krześle i z uśmiechem na ustach obserwował scenę.

– Co ona mówi? – zapytał podekscytowany Paul. Jego znajomość francuskiego nie obejmowała takiego słownictwa.

– Jeśli nie przerwiemy ataku, chora przez dobrą godzinę, może nawet dłużej, będzie kontynuować rzucanie obelg. Jednak

nie chciałbym narazić na to żadnego z panów – aczkolwiek wśród inwektyw tych jest trochę frapujących neologizmów, które powinny zainteresować przynajmniej tych spośród was, którzy parają się pisarstwem, nieprawdaż, monsieur Daudet? – Charcot skinął głową bladolicemu pięćdziesięciolatkowi o brązowych włosach sięgających linii podbródka. Jego ekstrawagancka broda uformowana była jak dwa diabelskie rogi. Był pisarzem i bliskim przyjacielem Charcota. Jori często widywał ich, jak przemierzają razem długie korytarze Salpêtrière, nieustannie poszukując nowych inspiracji. Zagadnięty z uśmiechem odwzajemnił pozdrowienie, ukazując przy tym rząd pożółkłych od tytoniu zębów.

– W rzeczy samej, bardzo frapujące, doktorze Charcot. Może mógłby mi pan wypożyczyć kiedyś dziewczynę, gdy popadnę w kryzys twórczy.

– Musiałby pan poprosić o to małżonka pacjentki, monsieur.

– Mmmhhh... *Urodèle!*

Widzowie przemogli szok i zaśmiali się arogancko. Charcot mógł być zadowolony z przebiegu pierwszego pokazu. Dał znak strażniczce, która podeszła, by zdjąć z podestu wierzącą i pokrzykującą Lunette. Jej wykrzywione ramiona zacisnęły się jak imadła wokół piersi dziewczyny.

– „Kocha swą wolność nade wszystko; jej mowa i usposobienie nie są dobre” – Charcot powtórzył cytowane wcześniej słowa, spinając nimi jak klamrą swój wykład, podczas gdy Lunette wynoszono z pomieszczenia. – Domyślają się już panowie, co mogła mieć na myśli nieszczęsna zakonnica? Może dziewczyna profanowała podobnymi wulgaryzmami nabożeństwo? – niemal wypluwał z siebie słowa. Splótł ręce na plecach, wypychając pokaźny brzuch ku publiczności. – Możemy tak przypuszczać, panowie,

bowiem we wszystkich przypadkach werbalnego wykołajenia, które mogliśmy do tej pory zaobserwować, zachowania takie objawiały się już we wczesnym dzieciństwie i nasilały w okresie dojrzewania. Czy schorzenie to jest zjawiskiem towarzyszącym płasawicy, czy stanowi odrębną chorobę, tego jeszcze nie wiemy. De la Tourette prowadzi obecnie intensywne badania zmierzające do odpowiedzi na to pytanie. Na razie można jedynie powiedzieć, że nie każdej drżączce towarzyszą obelżywe tyrady. Z drugiej zaś strony nie zaobserwowaliśmy jeszcze żadnego przypadku, w którym chorobliwe przeklinanie występowałoby bez paroksyzmów. Poczciwa madame Minck być może stanowi tu wyjątek.

W audytorium ponownie rozległy się śmiechy. Wszyscy mężczyźni wiedzieli, kim była madame Minck. Uchodząca za jedną z najbardziej radykalnych obrończyni praw kobiet we Francji, współzałożycielka socjalistycznej partii Ouvrier Français już parokrotnie była aresztowana za propagowanie feministycznych haseł. Było o niej głośno zaledwie miesiąc temu, kiedy chciała ochrzcić swe nowo narodzone dziecko imieniem Spartacus-Blanqui-Révolution – skandal, który na szczęście został udaremiony przez sąd cywilny. Jori również o tym słyszał. Odkąd wprowadził się do pokoju starej madame Villon, czuł się czasem, jakby mieszkał bezpośrednio w redakcji jakiejś bulwarowej gazety. Miał się odwrócić do Paula, by wyjaśnić mu żart, ale Charcot ciągnął dalej:

– Zapewne mogą panowie sobie wyobrazić, jaki los spotkałby dziewczynę o podobnych symptomach w minionych stuleciach. Dopiero dziś, wraz z postępem nowoczesnej medycyny, jesteśmy w stanie rozpoznać prawdziwą przyczynę schorzenia i udostępnić pacjentce odpowiednią terapię. – Charcot wypiął pierś, by nikt nie

miał wątpliwości, komu to wszystko należy zawdzięczać. – Izolacja, kąpiele w wannie z pokrywą i elektroterapia! – zawołał, jakby zagrzewał do boju rewolucjonistów.

Nagrodzono go gromkimi brawami. W rejewachu nikt nie zauważył, że krzyki Lunette, dochodzące z korytarza, umilkły.

